

K U Ź N I C Z A N K A

K W A R T A L N I K

Nr. 1 i 2

1935.

Z I M A — W I O S N A .

Treść numeru:

Pamiętniki Jenerałowej Zamoyskiej	1
Rozmyślania p. Jenerałowej	9
Głosy Kuźniczanek	12
Ziarnka Gorczyczne	13
Z życia szkolnego w Kuźnicach	14
Z życia Szkoły Gospodarstwa Domowego im. Jenerałowej Zamoyskiej w Warszawie	15
Z listów b. Kuźniczanki, instruktorki gospodarczej	16
Powrót Chrystjanizmu	17
Śmiej się, śmiej się wieku młody	22
Recenzje	23
Zawiadomienia	23

ROCZNA PRENUMERATA: 5 ZŁ.

Wydawca:

STOWARZYSZENIE CHRZEŚCIJAŃSKO-SPOŁECZNE
pod opieką Matki Boskiej Dobrej Rady. Zakopane-Kuźnice.

Redaktorka odpowiedzialna

Janina Strawińska

Adres Redakcji i Administracji „Kuźniczanki“:

Kuźnice, poczta Zakopane.

Telefon: Zakopane 301. — Konto P. K. O. Kraków 412.803.

1007 c 1990



Pamiętniki Jeneralowej Zamoyskiej

75

Paryż — Cbowiązki rodzinne.

(Ciąg dalszy)

Zaproponowano memu mężowi, aby na zebraniach związków przemawiał. Oczywiście zgodził się bardzo chętnie. Zaczęliśmy więc jeździć z miasta do miasta a za przyjazdem zastawaliśmy plakaty na półtora metra długie z oznajmieniem że tego a tego dnia będzie Meeting w sprawie Polski na którym mój mąż przemówi. Pierwszy taki Meeting odbył się w New Castle. Pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć mego męża mówiącego publicznie i to w obcym języku. Dali mi miejsce w sali naprzeciwko niego w pierwszym rzędzie słuchaczy. Tłum był niesłychany, siedziałam jak na szpilkach, nie wiedząc jak to będzie, ale po dwóch minutach byłam zupełnie uspokojona i mogłam słuchać dalszego przemówienia z przyjemnością. Miał on ten dziwny dar, że w życie publiczne wprowadzał tę samą prostotę i swobodę jaką miał w stosunkach towarzyskich wszelkiego rodzaju, i w stosunkach rodzinnych. Nie widać było u niego ani nieśmiałości, ani fanfaronady, i z taką swobodą mówił do tych kilku tysięcy ludzi, jak gdyby przy własnym biurku do najbliższych. Słuchano go z niesłychanem zajęciem i sama nie wiem czy to jego słowa czy sposób w jaki je mówił czy postać która zawsze na ludziach urok wywierała czy sama treść i sprawa której bronił dziwnie wszystkich na duchu podnosiły. Meetingów takich jak w New Castle było bardzo wiele, a że te wszystkie mowy w dziennikach były drukowane, trzeba było, ażeby mówiąc ciągle o tym samym przedmiocie, przedstawiać rzecz w coraz inny sposób. Mowy te nie były poprzednio pisane, stenografowie je spisywali, ale trzeba było to odczytywać, poprawiać, przepisywać, do dzienników posyłać. Można sobie łatwo



Cz 2280/1935

wyobrazić ile to wszystko przyczyniało roboty, nie licząc już korespondencji z tego powodu z redaktorami, z prezesami rozmaitych meetingów i stowarzyszeń politycznych. Ale nie na tem koniec: z członkami Izby cięższa praca była robota, bo dla każdego, kto miał w sprawie Polski przemówić trzeba było zebrać wszystkie potrzebne materiały, — i to było głównem mojem zadaniem. Musiałam im rysować mapy Polski, dać pojęcie o historii trzech rozbiorów, przypominać do czego Anglja się zobowiązała traktatem wiedeńskim. Nareszcie pan Denemann pierwszorzędnym mówca, człowiek młody i pragnący rzecz ująć gruntownie, orzekł, że trzeba wiedzieć wszystko, co w Izbach Angielskich zaszło od 31-go roku odnośnie do sprawy Polski, dla przekonania ministrów, a raczej Izby o zobowiązaniach, jakie ministrowie w danych razach na siebie brali.

Prawdopodobnie moja młodość i niedoświadczenie sprawiły, że bez najmniejszego wahania przyrzekłam zadośćuczynić jego życzeniom. Nie zdawałam sobie sprawy, czego się podejmuję, ale jak raz się zobowiązałam, nie mogłam zawieść. Major Szulczewski przysłał mi stopy dzienników, kompletny zbiór z 34 lat *Timesa*, *Daily News*, *Morning Herald*, i mnóstwo innych. Dziennik po dzienniku przeglądaliśmy z Michaliną, która słowa po angielsku nie umiała, a która tylko wyszukiwała słowo „Poland“, a jak je znalazła, to mi dziennik podawała, ażeby osądziła, czy artykuł ma znaczenie, czy go niema. Wszystkie artykuły i mowy mające jakieś znaczenie wycinaliśmy, a że się czasem te same w kilku dziennikach znajdowały, wybierałyśmy najkompletniejsze i najlepiej drukowane, i sklejałyśmy w chronologicznym porządku z nazwiskiem dziennika i datą, w duże księgi. Wszyscy wiedzą, jakie ogromne są angielskie dzienniki — to też na ziemi je rozkładałam, i, kłęcząc polowałyśmy, po tych dziennikach, a jak kto przychodził z wizytą, kłęcząco przyjmowałam z palcem na dzienniku, ażeby miejsca nie zagubić. Tych wycinków klejonych zrobiło się kilka ogromnych tomów. Można sobie wyobrazić, jakiego doznałam zmartwienia gdy się potem przekonałam, że p. Denemann powycinał wszystko, co mu się przydać mogło, a resztę do śmieci wyrzucił; pocieszyłam się w tym przypadku, tak jak w wielu innych w życiu, myśląc, że główną

dla sprawy naszej rzeczą jest nie odmówić nigdy żadnej pracy, pod pozorem, że się na nic nie przyda, ale bądź co bądź, robić, co tylko można, a Panu Bogu zostawić resztę. To pewno że praca moja nie na wiele się przydała, tak jak i mowy p. Denemanna nie przydały się na nic, jeżeli za pożytek liczyć można tylko to, co materialny skutek przynosi. Ale wolę wierzyć, że, jak mawiał ks. Gratry, żaden wysilek nigdy stracony nie jest, i wszystko co się dla prawdy i sprawiedliwości robi, wobec Boga ma wagę i w swoim czasie owoce przynosi. Więc o tych 6-ciu miesiącach ciężkiej pracy wspominam z wdzięcznością dla Pana Boga, że oto w 64 zoku, kiedy cała Polska cierpiała, — i mnie kark, krzyż i oczy tak bolały od nachylania się nad dziennikami przez 10 godzin z rzędu, że czasem nie wiedziałam, jak się wyprostować, ani jak chodzić. Czasami o 7-mej wieczór pracę przerywałam, ażeby pójść ubrać się na jaki obiad albo wieczór. Raz, przypominam sobie u L-da Palmerston, I-o ówczesnego ministra, byliśmy we wilję dnia przeznaczonego na dyskusję o Polsce. L-d Palmerston po obiedzie pokazywał mi na kominie stojącą bardzo ładną statuetkę Minerwy, i pytał się, czy mi się podoba. Powiedziałam, że mi się podoba, że go proszę, ażeby ją nazajutrz zabrał do Izby. Zapytał mnie, czy na to, ażeby mądrze mówił o Polsce — odpowiedziałam, że oczywiście, co mu się jednak nigdy nie zdarzyło, bo jeżeli, kto był kiedy w zależności od Moskwy, to właśnie on. A Uguhart utrzymywał, że kiedy nawet coś przeciwko Moskwie powie, to właśnie tyle tylko, ile potrzeba, ażeby odwrócić posądzenie zbytnej dla Moskwy życzliwości, ale nigdy nie tyle, ażeby Anglię pobudzić do jakiegosć istotnego przeciw niej działania.

Nasz pobyt w Londynie przerywany był częstą jazdą do Paryża, a dla mnie i do Poznania. Powiedziałam poprzednio jak dobitnie cesarz Napoleon doradzał Polakom wytrwanie w powstaniu, mówiąc, że od tego wytrwania jedynie zależeć może wszelkie powodzenie. To też choć żaden roztropny człowiek nie był wziął udziału w rozpoczęciu tego powstania, wszyscy, nawet najmniej skłonni do tworzenia sobie wybujałych nadziei, czuli się zniewoleni do popierania go, gdy raz wybuchło, że względu na rozmaite obietnice cesarza. Dlatego i mój brat zajął się sku-

powaniem broni i przesyłaniem jej przez granicę. Obstalunki broni rabiły się głównie w Liège i w Anglii. Chodziło też o dostarczenie powstańcom jako tako odpowiednich oficerów, o zbieranie składek dla Rządu Narodowego. — to wszystko wymagało porozumienia, które listownie było niemożliwe ze względu na pocztę. Zdarzyło się parę razy że za kurjera służyć musiałam. Jednego razu przyjechawszy z Poznania do Paryża z rana, tego samego dnia wieczorem wyjechałam do Poznania. Podróż wówczas była o wiele dłuższą niż teraz. Ale mimo hamulca, nałożonego na wszystkie nadzieje, przez zimną rozagę i roztropność, mimo wszelkiej udanej zimnej krwi w obec wypadków, mimo wmawiania w siebie samych, że ani cesarz ani Anglja nic ostatecznie przeciw Moskwie nie robią, bądź co bądź, nadzieja brała górę. A czem jest nadzieja w obec sprawy narodowej, kto tego nie doznał, ten i pojąć nie potrafi. Do jakiego stopnia jeden promyk nadziei potrafi wszelkie trudności zwalczyć, i sił dodać, tak że nawet ani zmęczenia czuć niepodobna, to rzecz nie do uwierzenia. Zdaje się jak gdyby siły nie miały miary, jakgdyby wszystko było możliwem. —

Mój brat napisał mi kiedyś słów kilka, które przechowuję jako najmielszą pamiątkę, mówiąc: że gdyby krzyż polski jeszcze istniał tobym sobie na niego była zasłużyła. A mój mąż mawiał, że mam siłę dziesięciu koni. Pan Montalembert, któregoś dnia powiedział mi także: prawdziwie że Polki są niesłychane, takich kobiet jak one na świecie niema. Ależ w tej sprawie nigdy mnie nic nie kosztowało nigdy, i byłoby mi ulgą, gdybym była mogła dziesięć razy więcej uczynić, ażeby się na coś przydać. Ohyda naszego stanowiska stąd głównie pochodzi, że my nie z jednym nieprzyjacielem mamy do czynienia ale z trzema. Tak i w 64-m roku. Gdybyśmy tylko byli mieli do walczenia z Moskwą, kto wie, czybyśmy ostatecznie mądrze prowadzoną partyzantką nie znużyli wojska moskiewskiego, które w owym czasie nie odznaczało się ani siłą fizyczną, ani duchem. Niestety my nigdy z Moskwą samą nie mamy do czynienia. Tak i teraz, tajne przymierze Moskiewskie z Prusami sprawiło, że cokolwiek czyniło się dla wsparcia powstańców w Królestwie, Prusy uważały za zbrodnię stanu

przeciw sobie, i taką mieli baczność, że prawdziwie cudu trzeba było, ażeby broń przez granicę prusko-moskiewską do Królestwa przemyścić. Dostawała się jednak w znacznej części, chociaż dosyć jej Prusacy zatrzymali, ażeby nabyć przekonania że Księstwo na szeroką skalę powstańcom sprzyja i pomaga. Stąd rewizje u osób prywatnych, a między innemi u mego brata. Tak to spadło niespodziewanie i z nie-nacka, że gdyby nie przytomność Agaty, służącej mojej bratowej, która na widok policjantów, potrafiła mnóstwo papierów skręcić niepostrzeżenie, póki policja z moim bratem się rozprawiała, to chyba połowa Księstwa byłaby poszła do więzienia. A i tak zażądany od mego brata pugilarres, w którym nie było ani jednego nazwiska wypisanego ale tylko początkowe litery osób i miejscowości stały się powodem najrozmaitszych domysłów policji, i aresztowań bez liku, co dla mego brata było zmartwieniem niesłychanem, bo wyglądało jakby brak ostrożności z jego strony. A jednak jakże szafować cudzemi pieniędzmi, składki otrzymywać, a rachunku jakiegoś nie prowadzić! Bądź co bądź ledwo policja wyszła z pałacu, mój brat, nie czekając żeby go przyszli aresztować, co było prawdopodobnem, kazał zaprząć i wyjechał wprost przez granicę do Ignacewa. Byłby to zrobił poprzednio gdyby nie to, że go Rząd Narodowy mianował komisarzem na Wielkopolskę, więc się oddać nie mógł. Widząc się, że jest pod dozorem policji popoznańskiej, i że nic już w Poznaniu nie będzie mógł zrobić, dostał się do powstania w przeddzień bitwy pod Ignacewem. Opowiadał mi później, że nie wiem jakim cudem został się sam, oparty o jakąś stodołę, do której Moskale zawzięcie strzelali, i że nigdy w życiu nie doznawał tak szczególnej opieki Boskiej, jak w tej chwili, gdyby tego nie widział własnymi oczami, to nie mógłby wierzyć, że cała stodoła jakby naszpikowana kulami, a jego sylwetka została jakby odcieniowana. Mówił, że miał wrażenie, że się ktoś bardzo modli za niego, i że te modlitwy kule od niego odwracają. Mógł tego doznać w istocie, bo od chwili jego wyjazdu, aż do końca powstania i jego powrotu, żona prawie z kościoła nie wychodziła, modląc się bezustannie. Wyznać muszę, że moim modlitwom prawie nic nie zawdzięcza, bo mnie taki szalony napadł niepokój, że mi się chwilami zda-

wało, że chyba pomieszczenia zmysłów dostanę. Dzień i noc niepokój mi serce pożerał. W chwili kiedy mój brat udał się do Królestwa, mój mąż dalej pracował w Londynie, a ja sama byłam w kraju i w tym strasznym niepokoju nie mogłam się zdobyć na widywanie się z kimkolwiek; jeden pan Coriolis pocziwy, dzień w dzień do mnie przychodził, najrozmaitsze dzienniki przynosząc, w których znajdowały się wiadomości, mogące dać jakąkolwiek nadzieję. Któregoś dnia między innemi przyniósł mi wieść, która mnie raczej rozgniewała niż zasmuciła, że oto policja pruska wzięła od mego brata wszystkie moje listy do niego, a listów tych była masa, bo w czasie powstania pisałam do niego codzień, donosząc o wszystkim co się w kraju lub Londynie działo. Listy te wydrukowano w jakichś gazetach berlińskich, z wcale niepochlebnym komentarzem o przewrotności polskich kobiet, i o tem, czego się od nich spodziewać można, nawet od tych, co uchodzą za najprzyzwoitsze. To, co pisały berlińskie gazety, mało mnie obchodziło, bo ich czytać nie mogłam, ale łatwo sobie wyobrazić, czego doznałam gdy mi to p. Coriolis w francuskiej gazecie pokazał. A co gorsze gdy dowiedziałam się, że i angielskie to przedrukowały. Nie zabolał mnie pogląd pruski na polskie kobiety, co mi zresztą nie bardzo ubliżało, ale chodziło o druk moich własnych listów, pisanych pospiesznie i poufnie do brata.. Zdaje mi się, że nie było ani jednego męża stanu francuskiego i angielskiego, któregobym nie była obrobiła na swój sposób, powtarzając ich rozmowy, moją ocenę ich rozmów, itp. itp. — Myśl, że to wszystko pod oczy znajomych wpadnie, strasznie była mi nieprzyjemna. Pan Coriolis bardzo mądrą dał mi radę, mówiąc, że gdy się niechce aby drudzy o czemś mówili, trzeba od tego zacząć, żeby samemu o tem nie mówić, uwagi niczyjej nie zwracać, nie tłumaczyć się i nie wymawiać, a że pomału rzecz wpadnie w wodę i że coś innego przyjdzie na porządek dzienny, a to co poprzedziło, pójdzie w zapomnienie. Mówią, że złodzieje sami siebie najbardziej zdradzają swoim niepokojem. — W istocie i w takich wypadkach coś podobnego zachodzi, że się własnym niepokojem cudzą uwagę zwraca. Często się zdarza, że nie chcąc, aby drudzy o czemś mówili, samemu się o tem mówi niepotrzebnie, i więcej się szkodzi własnej sprawie, niżby kto inny zaszkodził.

Miesiące, przebyte przez mego brata w powstaniu, zaliczyć mogę do najstraszniejszych jakie w życiu mojem przepędziłam. Czułam jakbym dźwigała coś ponad moje siły. Któregoś dnia pocziwa Pani Baltazzi, owa śliczna Greczynka, którą poznałam w Stambule, przyjechawszy na zimę do Paryża, przyszła mnie odwiedzić, i, widząc mnie tak strutą, zaczęła dowodzić, że koniecznie powinnam się rozerwać, bo nie wytrzymam. Ale czem się rozerwać, — zapytałam, kiedy ten niepokój wszystko pochłania. „Już ja to na siebie wezmę“ odpowiedziała „bylesz mnie słuchać chciała“ — i wymogła na mnie obietnicę, że byle mi nie kazała na bałle chodzić i do teatru zrobić wszystko, co zechce. Zmusiła mnie do uczenia się po grecku. Kupiła mi gramatykę Burnufa, masę roboty zaczęła zadawać, trzy razy na tydzień przyjeżdżała na lekcje, i tak mnie pędziła, że w istocie chwili nie zostawiała do wytchnienia, a rozbudziwszy we mnie to upodobanie, przez kilka lat potem stale lekcje mi dawała. Razu jednego pojechałam do niej na lekcję. Kazała dzieciom swoim recytować Illjadę z pamięci. Córeczka 14 letnia 6 ksiąg z rzędu umiała na pamięć. Czasami mamka jej młodszej córeczki, Greczynka z wysp Jońskich, wchodziła do pokoju z jakim interesem, a w środku jej interesu, raptownie ją zatrzymywała, a mnie kazała mówić, jaki jest źródłosłów danego czasownika. Dowodziła że na wyspach Jońskich stary dawny język grecki wśród ludu się przechował. Biedna mamka czasami przez kwadrans stać musiała z jakimś dziecinnyim kapeluszem lub płaszczykiem w rękę, zanim się skończyła rozprawa gramatyczna, do której najniewinniej powód dała. Pani Baltazzi niezmiernie była piękną, piękną prawdziwie grecką pięknnością, przy tem tak zapaloną Greczynką, że jak wpadała na jaki temat grecki, to bym ją była chciała malować. Kiedys zaczęła mnie łajać że nie uważam na to co mówi; — powiedziałam jej, że jeżeli chce żebym uważała na słowa, a nie na mówiącą, to niech stanie za moimi plecami, bo oczu od niej oderwać nie mogłam. Ta nauka greckiego języka z czasem stała się dla mnie nadzwyczajną przyjemnością. Zdawało mi się, i sprawiedliwie, że lepiej rozumiem dokładne znaczenie wyrazów, które weszły w najpotoczniejszy użytek w innych językach, a były greckiego pochodzenia. Tak jak niegdys

uczyłam się po persku, potem po turecku, tak wówczas namiętnie uczyłam się po grecku, ale ze stokroć większą przyjemnością i pożytkiem. Cóżby w tych wschodnich językach a przynajmniej o ile poznać mogłam ich literaturę, dorównać mogło literaturze greckiej, jej bogactwu i pięknościami? A co do tej literatury, mój brat dał mi później radę, która jak każda od niego pochodząca niezmiennie mi była pomocną. Radził czytać i obznajamiać się z literaturą w porządku chronologicznym. Mówił, że narody, społeczeństwa, sztuka, mają swoje początki, swój wzrost i rozwój, swoją jakoby pełnoletność, czy doskonałość, a nareszcie swój schyłek, tak jak ludzie. I że tak jak człowiek dorosły nie może wrócić się do lat swoich dziecinnych, i znaleźć upodobanie w tem, w czem je znajdował w dzieciństwie, tak samo i nam, gdy smak artystyczny i literacki wykształca się na sztuce i literaturze późniejszych wieków, niepodobna odczuć i zrozumieć piękności literatury i sztuki wieków pierwszych; a przynajmniej mało kto jest w stanie wrócić się wstecz, i upodobać sobie tę pierwotną prostotę. Umysł i oczy przyzwyczajają się do form bardziej wybrednych, wyszukanych, i tracą możność rozumienia piękna, oddanego z większą prostotą a mniej wyszukanego. — Zawsze się później tej zasady trzymałam, o ile możliwości i drugim ją doradzałam, tak w czytaniu utworów literatury, jak w zwiedzaniu galerij obrazów i rzeźb, i rozmaitych pomników. Jedyny to w istocie sposób zrozumienia sztuki a zarazem rozwoju społecznego, czyli cywilizacji. Literatura i sztuka tak są ściśle związane z rozwojem moralnym i umysłowym społeczeństwa, że acz przezeń są natchnione, i najlepiej stan każdej epoki poznać dają, to jednak działanie jest wzajemne. Jeżeli trudno w wiekach podupadłych, wśród dekadencji dopatrzeć się genjuszów, co by się sami jedni wynieśli ponad ogólny poziom, to jednak wystarczyłoby jednego genjusza ażeby podnieść całe społeczeństwo i ocucić je z upadku, w którym się rozkłada. Genjuszów tego i owego rodzaju dawał Pan Bóg od czasu do czasu naszemu krajowi. Czemu oni nie tyle sprawili dla podźwignięcia, ile, zdaje się, że uczynić byli mogli? Czy to naród im nie dopisywał czy też oni nie dorobili do miary, — czy godzina Boża jeszcze dla nas nie wybiła? Tego ja nie wiem; jednako ile mi się zdaje, to Kościuszko nie dopisał naród. Mickiewicz nie dopisał narodo-

wi. A obaj mieli jednak to coś, co narody podnosi i pociąga. Co do mnie, o ile miałam sposobność sądzić, Dr. Marcinkowski był jednym z tych duszochwyków (jak nazwano Św. Józefa) co najsilniej społeczeństwo, a przynajmniej Wielkopolskę podniósł, a i on wiele większy byłby miał wpływ, gdyby był miał tyle wiary, ile miał miłości. — Ja jednak wiem, że z moich młodych a prawie dzieciennych lat, on jest jednym z tych, co najsilniej na mnie wpłynęli, co najskuteczniej zapalili we mnie ten żar miłości dla kraju, i postanowienie służenia mu do ostatniego tchu życia. — Mój mąż mi opowiadał, że tak samo na niego wpłynął Kościuszko, w pierwszej młodości. Miał i mój mąż ten dar porywania młodych i iluż jest takich co jemu zawdzięczało kierunek życia pod względem narodowym.

KONIEC.

Z ROZMYŚLAŃ P. JENERAŁOWEJ

Piątek 18 marca 1896 r.

Rozważaliśmy nieraz, co robić, czego się wyrzec w duchu pokuty i w myśl słów św. Pawła o konieczności dopełnienia męki Chrystusowej w naszym życiu.

Dziś pragnę, abyśmy przemyślały to wszystko, co znieść należy w duchu pokuty, łącząc cierpienia nasze z męką Chrystusa.

Bywają cierpienia i umartwienia, które możemy sobie zadać w duchu pokuty, są inne i to bardzo liczne, których uniknąć niepodobna. I one to są najbardziej celowe, najskuteczniejsze, bo przez Boga wybrane, właśnie dla nas, w najgłębszej znajomości naszej duszy i jej potrzeb.

Trzeba jednak zrozumieć Jego intencje ojcowskie, trzeba zrozumieć znaczenie i wartość cierpienia w wielkich zarówno jak małych rzeczach. Św. Paweł mówi, że wszystko obraca się na dobre tym, co Boga miłują, a o ileż bardziej owocne byłyby dla nas te próby, gdybyśmy pamiętali, że są one wybrane przez Boga specjalnie dla nas. Wiara powinna nas nauczyć, że Bóg nieraz zsyła ból przeciwny naturze — w imię dobra duszy. Św. Aniela z Foligno skarżyła się, że Bóg opuszcza ją, gdy dzień jeden minął bez cierpienia.

Nie myślę w tej chwili o momentach wielkich prób, o tych życiowych tragedjach, które wywołują współczucie i pomoc ludzką, które tak dalece pozwalają wydobyć najpierw naszą cierpliwość, naszą uległość, naszą wiarę — że i pycha w tem swój pokarm znajdzie. Nie, myślę o tych drobnych, ukrytych cierpieniach, które Boga jedynie za świadka mają; znużenie, nuda, osamotnienie, braki czy nierówności naszego własnego charakteru, pokusy... Nie takich prób pragniemy — i z własnej woli ich nie wybieremy. —

Nikt znużenia, zmęczenia nie pragnie... Czasem wywołują je zawody życiowe. Trzeba w nich dojrzeć wolę Bożą. Są to momenty wielkiej wagi w życiu ludzkim. Stajemy jak na rozstajnych drogach. Dokąd pójść, co zrobić? Tyle naszych wysiłków i cierpień daremnych, wzamian za niewdzięczność, niesprawiedliwość, oszczerstwa. Dusza szarpana wrogami sobie siłami, a szatan czycha za zakrętem drogi i tłumaczy i pociesza, że nasze zwątpienie jest słuszne, że i tak już dość, aż nadto, zrobiliśmy, że mamy słuszne prawo być zgorszkniali, i oschli.

Ale i Chrystus nas oczekuje i przypomina, że znał, jak dobrze znał, te chwile znużenia, chwile wstrętu, chwile lęku i że smutna była Jego dusza aż do śmierci. A ci co za Nim poszli i w ślady Jego wstępowali — przejść musieli przez te same próby.

Św. Paweł przyznaje, że znużony jest życiem. Może więc być dobre i złe znużenie. Znużenie wywołane wysiłkiem ku dobremu jest dowodem naszej pracy i świadczy o prawdziwym wysiłku. W takim znużeniu łączyć się możemy ze świętem zmęczeniem Chrystusa, z Jego Męką wytrącając szatanowi broń z ręki. I najgłębsze zmęczenie może w ten sposób stać się uświęceniem duszy. Ta sama niemoc, która nas mogła rzucić pod nogi szatana, stawia nas u stóp Krzyża Chrystusowego.

A samotność? Nie ma zda się nikogo, na kim oprzećby się można, a zapominamy, że nigdy nie jesteśmy opuszczeni z punktu widzenia nadprzyrodzonego i że niema takiego ludzkiego ramienia, które byłoby w stanie skutecznie wesprzeć duszę. Samotność znika gdy się zwrócimy do Chrystusa. To wiedza taka prosta, a taka zapoznana... I nie trzeba być świętym, aby tej pociechy doznać, wystarczy być biednym łotrem, ukrzyżowanym obok Chrystusa, wystarczy być biednym grzesznikiem, bo On przyszedł dla grzesznych i dla chorych. I nie trzeba wielkich wysiłków, aby się

z Nim połączyć, wystarczy moment woli. Z warg może się zerwać krzyk bólu, lecz w głębi duszy pragniemy cierpieć z Chrystusem — i łączność nawiązana.

Te chwile bólu są jak skarby, koło których przejść możemy, nie wolno ich mijać bez korzyści dla duszy.

Pamiętajmy, że nigdy nie jesteśmy sami — chyba o ile nie skazaliśmy się dobrowolnie na samotność przez brak miłości Boga i bliźniego. Egoizm stwarza samotność i opuszczenie. Z chwilą gdy zerwiemy niegodne więzy samolubstwa — zniknie i poczucie osamotnienia. Miłujmy Boga w Jego biednych, miłujmy Go w tych, którzy nas w jakikolwiek sposób potrzebują, idźmy naprzeciw tych, co cierpią, a ci co cierpią z własnej winy, ci są najbardziej nieszczęśliwi. I tak oto nigdy nie będziemy sami.

A jeśli zjawi się to uczucie osamotnienia bez wyraźnej przyczyny, jeśli czujemy smutek, sami nie wiedząc dlaczego — to znak, że dusza nasza chora, a miłość jedynie uleczyć ją może.

A potem nuda... ten czas, co mija a nic ze sobą nie przynosi, tęsknota do dobra, do piękna, do przyjaźni, do tego wszystkiego co nieraz czarem przenika szczęśliwe godziny życia. I gdy tak pragnie się duszą całą tego co dobre i piękne — widzi się wokół siebie to, co drażni, gniewa, do rozpacz doprowadza i tak oddala od dobra upragnionego.

Pragniemy szczęścia nie z tego świata, marzymy pełni uczuć najgłębszych w jasności, w prawdzie i sprawiedliwości...

Bóg pozwala, aby taka tęsknota w nas zagościła, tęsknota za ojczyzną daleką, abyśmy nie przywiązywali się zanadto do tej ziemi, a wszystkie siły ducha wyteżali ku tamtemu życiu.

Lekarstwem na te tęsknoty jest praca, praca duchowa nad poprawieniem naszych błędów, praca umysłowa nad wyrównaniem braków naszych wiadomości i wreszcie praca naszych rąk. Nie trzeba również zapoznawać związku jaki istnieje między cierpieniem duszy a cierpieniem ciała. Smutek i melancholja mogą mieć często podłoże fizyczne.

Źródłem cierpień prawdziwych jest często nierówność usposobienia, mierność charakteru; chciałybyśmy wszystkie być święte i bohaterskie. — A musimy znosić braki nasze, wady nasze jako dopust Boży, zesłany dla naszego upokorzenia. Nieporządek niepunktualność są trudne do wykorzenia i w ten sposób stale czujemy się winne, czujemy naszą niższość wobec otoczenia. To jeden z momentów naszej pokuty i w tym duchu trzeba go przyjąć.

Inną znowu próbą jest konieczność współżycia z osobami, które myślą inaczej niż my. Przypominajmy sobie wówczas Chrystusa, który przebywał wśród prostaków i którego życie upływało w tak ciężkich warunkach!

Wstręty fizycznej natury przemóc możemy pamiętając na ocet i żółć, którą Chrystusa napojono, pamiętając o tem, co znieść musiał onej nocy spędzonej wśród żołnierzy znieważających Go...

Te wszystkie próby, te wszystkie cierpienia usiłujmy znosić łącząc się z Chrystusem, Tym, który był „posłuszny aż do śmierci“. Musimy być przeniknięte tem uczuciem posłuszeństwa wobec przeciwności, które znieść trzeba, aż staną się one dla nas źródłem pociechy, i siły, i radości nieskończonej, gdyż każda chwila dnia zbliżać nas będzie do Pana naszego Jezusa Chrystusa.

KUŹNICZANKA NIE KUŹNICZANKA.

W tym nowym dziale naszego pisma pisały dotąd same „prawdziwe“ kuźniczanki. Były w Zakładzie krócej lub dłużej uczuciowo związane są z nim słabiej lub silniej — przeszły jednak wszystkie przez jego wychowawczy wpływ, odczuły go na sobie. I co najciekawsze, że w tych wypowiedziach każda z dawnych uczeniec inną stronę tego wychowania podkreśla, co innego z Zakładu wyniesionego najlepiej w życiu użytkowała, co innego z tych prawd w Zakładzie wpojonych za najważniejsze dla swego duchowego rozwoju uważa.

Ale w tej chwili mówi do Was Kuźniczanka, która nigdy uczenicą nie była, którą „przypadek“ z Zakładem już w drugiej połowie jej życia zetknął — i która może właśnie dlatego, że spojrzała na niego oczyma kobiety dojrzałej, widzi go w jakiejś syntezie nieprzesłoniętej mgłą sentymentu dziewczęcych wspomnień. Nie wiem, czym jest dla Was kaplica kuźnicka, wiem że dla mnie się stała ona najcichszą przystanią, gdzie wszystkie bóle i rany życia goją się w jakiś cudowny sposób.

Czy czujecie jak ona jest przedziwnie wymodlona. Ale to nie wszystko.

Przed wielu laty mała dwunastoletnia dziewczynka, której dano do czytania opracowaną dla młodzieży „Quo Vadis“ pomyślała z dziwną tęsknotą — „Chciałabym spotkać ludzi, którzy tak żyliby złączeni z Chrystusem“ — Byli tacy i wówczas i przedtem,

tylko że nie każdemu dane spotkać się z nimi — a życie tak rwące, tak pochłania — Pochłonęło też i tę napół dziecinną tęsknotę, a zdawało się, że wspomnienie o niej zaginęło.

Minęło wiele, wiele lat. Wszystko jedno czy złych czy dobrych i których było więcej — Przez życie bezkarnie przejść nikt nie może i nie potrafi — Dojrzała kobieta — znalazłszy się po raz pierwszy w Kuźnicach doznała uczucia olśnienia — „To moja dziecinna tęsknota za tymi, co żyją Chrystusem“ — A życie Crystusem to harmonja, to ład wewnętrzny, polegający na najwyższej może umiejętności życia — na stosowaniu hierarchji wartości. To dały swoim wychowankom Kuźnice, i to jest ich największa zasługa. Osobiście każda z kuźniczanek może uznawać te czy inne wartości, za najważniejsze, za najpotrzebniejsze w jej życiu, ale gdy się spojrzy na Was wszystkie ot tak z boku gdy się Was ujmie jako całość — to mimo różnorodności indywidualnych typów, usposobień temperamentów widać, że to są kobiety którym wpojono podstawowe zasady życia chrześcijańskiego, które mają silny wewnętrzny pion moralny. Pomyślmy — jak to bardzo wiele w dzisiejszych czasach względnej moralności, chwiejnych sumień i mętnych umysłowości — w dzisiejszych czasach gorączkowego szukania samego siebie, poplątanych pojęć o godziwym i niegodziwym prawie człowieka do szczęścia. Myślę, że w tem leży największa zasługa Kuźnic — i myślę także, że młode dziewczęta powinny zrozumieć te wartości, które im Kuźnice dać mogą — Młodzi dzisiejsi chcą prosto brać życie, powinien więc do ich dusz i serc przemówić ten najcudniejszy harmonijny ideał z Chrystusem.

W. K.

ZIARNKA GORCZYCZNE

Prostota poglądów, wielkoduszna ofiarność, brak egoistycznych celów i wszelkiego wyrachowania — oto podstawowe warunki moralnego szlachectwa.

(*Abbé Klein.*)

Stałe skupienie wewnętrzne jest znamię bohatera.

(*Emerson.*)

Pszczoly pracować mogą tylko w ciemności, myśl ludzka jedynie w milczeniu, a cnota w ukryciu.

(*Carlike*).

Powodzenie jest błogosławieństwem Starego Testamentu, przeciwność jest błogosławieństwem Nowego Testamentu. Wszyscy duchowo tkwimy w Starym Testamencie.

(*Bacon*.)

Z ŻYCIA SZKOLNEGO W KUŹNICACH.

Nauka.

Za poradą władz szkolnych, czyniąc zadość potrzebom chwili, otwarto w tym roku po raz pierwszy w Kuźnicach kurs półroczny przysposobienia w gospodarstwie rodzinnem. Uczestniczy w nim 9 uczeń. Ogólna liczba uczniów wynosi 30.

Szkoła zbogaciła się w tych dniach pięknym piekarnikiem elektrycznym. Uczennice bardzo są zadowolone z tego nowoczesnego udogodnienia, będącego prawdziwą ozdobą kuchni szkolnej.

Zabawa.

Karnawał upłynął pod znakiem wycieczek i szlachetnego sportu narciarskiego, w którym ćwiczano się sumiennie i systematycznie. Sankami pojechały uczennice do Morskiego Oka i na Bukowinę w najcudniejszą, bajkową pozę, przyczem kilometrami uprawiano skijöring. Prócz tego uczennice chodziły na zawody narciarskie, podziwiając naszych śmiałych skoczków. Odbyło się też przedstawienie amatorskie, prawdziwy wieczór śmiechu. Zakończeniem karnawału będzie doroczny, tradycyjny „bal” w szwalni, barwnie przybranej.

Ślub.

W dniu 3 marca odbył się w kaplicy kuźnickiej, jaśniejącej bielą i światłem, ślub p. Elżbiety Trilling z Chorzowa, uczennicy roku zeszłego, z p. Romualdem Lukas, architektem. Po ceremonii przy której śpiewał chór uczennic, odbyło się uroczyste przyjęcie. Skromna salka jadalna kuźnicka ożywiona była kilimami, zielenią i kwiatami. Do nowożeńców przemówił w paru słowach ks. kape-

lan Bozowski. Na prośbę panny młodej wzięły udział w przyjęciu z osób domowych: przełożona, p. Zaleska, p. Justyna Zaleska, p. Czaplicka i p. Koczorowska. I p. Zamoyska przysłała na chwilę złożyć młodej parze życzenia.

Nowożeńcom Szczęść Boże!

Kuźnice, 4 marca 1935.

Z ŻYCIA SZKOŁY GOSPODARSTWA DOMOWEGO IM. JENERAŁOWEJ ZAMOYSKIEJ W WARSZAWIE.

Skromna, prosta sala szkolna zamieniona na kaplicę. Krzyż i Najświętszy Sakrament — Cicha Msza św. odprawiana co rano. To zamknięte rekolekcje odprawiają uczennice Szkoły Gospodrstwa Domowego i Szkoły Zarządczyń. Skupienie, cisza, milczenie. A za oknami gwarne, zgiełkliwe życie handlowej dzielnicy wielkomiejskiej. W nawoływania przekupniów wpada ostrą nutą klakson samochodu przy dudniącym akompaniamencie wozów ciężarowych. Nie nam tu w Warszawie marzyć o ciszy kuźnickiej kaplicy, o ciszey, w którą wplata się poszum górskiego wiatru i górskiego potoku. Szare mury kamienic grodzą drogę wejrzeniu, co szuka rąbka bodaj nieba. Nie dla nas przejrzyste górskie powietrze nad skałami Tatr, ani smukłe smreki, ani dalekie wejrzenie, aż hen, ku błękitniejącym Karpatom.

Lecz „Duch kędy chce tchnie“. Ten sam duch co ożywia Kuźnice, ten duch skupienia, sumiennej pracy wewnętrznej, duch miłości co rzuca na kolana przed krzyżem — symbolem najwyższej miłości i najwyższego poświęcenia przenikał serca młodych dziewcząt ze szkół Warszawskich, zasłuchanych w nauki ks. prał. Jachimowskiego głębokie w treść, a proste i serdeczne w formie. To nie jałowe rozmyślanie, nie dewocyjny sentymentalizm religijny, a nabranie żywotnych sił, to prężność duchowa, której wartość w działaniu się pokaże. Warszawska szkoła to żywe świadectwo, życiowej wartości zasad p. Jenerałowej Zamoyskiej, zasad tak zgodnych z postulatami dzisiejszej pedagogii rozwoju pełnego człowieka poprzez jego własny twórczy wysiłek, przez pracę duchową, umysłową i fizyczną.

Zasady to tem trwalsze, że zbudowane na opoce wiary opromienione ufnością i miłością ku Temu, co przyszedł zbawić świat, a nas powołał do współpracy ze Sobą. Jakiś wyższy, cudniejszy, bardziej porywający cel można młodym duszom przed oczy postawić, aby je do pracy porwać a w porywie tym przez życie utrzymać.

Z LISTÓW B. KUŹNICZANKI, INSTRUKTORKI GOSPODARCZEJ

... przez dwa lata pracowałam w Szkole Rolniczej Państwowej i Rządowej Żeńskiej pow. dubieńskiego. Pracowałam z ramienia Kuratorium w charakterze nauczycielki kroju, szycia, haftu, udzielając również lekcji ogólnokształcących. Mając nad sobą kierowniczkę o dużych wymaganiach a jednocześnie b. inteligentną, dużo skorzystałam, tak pod względem pracy, jak i wyrobienia. Obecnie mam pracę odpowiedzialną, kierowniczą. Otrzymałam posadę w takiej samej szkole, nowoutworzonej w drugim powiecie. Szkołę tę zorganizowałam i przeprowadziłam pierwszy kurs. W tym tygodniu przejeżdżałam ze szkołą do drugiej miejscowości, znów na trzy miesiące. W porze letniej zajmę się pracą społeczną, organizowaniem Kół Gospodyń Wiejskich.

Pracując już dwa lata, pokochałam swą pracę i znajduję w niej całkowite zadowolenie. Szkoła wędrowna odpowiada mi zupełnie. Przejeżdżając z miejsca na miejsce, tak dobrze poznaje się nie tylko okolice, ale i ludzi z różnych środowisk, ich wymagania, dążenia, myśli itp. Jestto szkoła życia. Człowiek staje się dobrym obserwatorem i psychologiem, co tak jest potrzebne w zetknięciu się z ludźmi. Poznaje się ludzi pod każdym względem i wyrabia się własny sąd.

Pracy w szkole naszej jest dużo, lecz jest urozmaicona: lekcje, szycie, gotowanie, świetlice itp. Praca ciężka ale dająca zadowolenie. Uczeń na tym kursie miałam 20. Element miejski i wiejski, pod względem narodowości mieszany. Najwięcej Rusinek, potem Czeszek. I Polki są. Gdy mam Polki na kursie, tu na Wołyniu, to odczuwam jakby były dla mnie rodzonymi siostrami i jestto podnieta do pracy, aby wśród tej masy Ukraińców i Czechów zyskać dla państwa naszego ludzi przychylnych i wiernych. Dążymy zawsze do szarmonizowania różnic narodowościowych, co się udaje, a że niema np. przymusu mówienia po polsku, zyskuje się ich zaufanie nie odrazu, ale powoli. Najcięższa praca jest nad okrzestaniem uczenicy, daniem im podstaw grzeczności, uprzejmości itp. Przeciwnie uczennice bywają o wykształceniu 3-4 oddz. szk. powszechnej, ale zdarzają się i takie, które mają po kilka klas gimnazjalnych. Przywiązują się szybko do szkoły. Na I kursie wszystkie uczennice miałam w internacie, co daje lepszy wynik i szkoła ma większy wpływ. Prowadząc szkołę, dążę do tego, by styczności z uczenicami nie zerwać, przeciwnie by coraz ściślejszą była. Myślę o zorganizowaniu b. uczenicy w Kółach Gospodyń Wiejskich lub w organizacji absolwentek szkoły. Program szkoły jest b. obszerny, więc praca jest in-

tensywna. Oprócz dwóch instruktorów, dojeżdżają prelegenci, jak do medycyny, do weterynarii, a również fachowcy na wykłady rolnictwa.

Ludność Wołynia to przeważnie Ukraińcy, następnie Czesi, Żydzi, potem dopiero Polacy. Są wsie rusińskie, gdzie fermentuje komunizm. Agitatorzy szczególnie podburzają ludność wiejską, ciemną. Ludność ta nie rozumie zasad komunizmu i idzie owczym pędem. Szkoła dąży do pozyskania zaufania ludności miejscowej, drogą popierania przemysłu ludowego, ich kultury, równocześnie uświadamiając ich i szerząc oświatę. Mówiąc o ich kulturze, zaznaczam, że nisko stoi. Ludzie o największej kulturze i inteligencji to Polacy, urzędnicy po miastach, osadnicy po wsiach. Zasługuje na uwagę ludowy strój rusiński, posiadający odrębne cechy, szczególnie hafty, stosujemy je w szkole. Obecnie strój ludowy zanika, jedynie starsi go używają, choć jest ogólnym dążeniem, by utrzymać charakter ludowy i typowe hafty ukraińskie, b. pracowite i ładne. Czesi to są koloniści, którzy za zmianę religii otrzymali ziemię. Jestto ludność prawosławna, odznaczająca się dużą zarozumiałością, co jednak niezawsze prowadzi do podnoszenia się kultury. Zaznaczam, że są to przeważnie moje osobiste spostrzeżenia, które zdobyłam, przejeżdżając przez miasteczka i wsie.

Pracy na Wołyniu jest ogrom, jest ciężka i żmudna, niejednokrotnie trzeba znosić duże przykrości, lecz kto wejdzie w nią, pokocha ją i prawdziwie pracuje, ten ma wewnętrzne zadowolenie. Szczególnie szczęśliwa jestem, z tego, że mogę coś dla państwa i społeczeństwa ze siebie dać i że nie żyję napróżno.

J. G.

Grudzień 1934 — luty 1935.

POWRÓT CHRYSZTJANIZMU

Pracę zbiorową kilku poważnych pisarzy angielskich, pod ogólnym tytułem *Powrót Chrystjanizmu**) kończy następujący epilog pióra G. H. Chesterton'a, pisarza sławy wszechświatowej i przyjaciela naszego.

Wczoraj, gdy zmrok wieczorny stawał się coraz głębszy i nieprzenikniony, niezwykłą drogą, możliwe, że telepatyczną, zawiadomiono mnie, że ktoś w danej właśnie chwili pisze następujące słowa: **«Świat dzisiejszy już nie jest w powijakach wyznaniowości, doszedł do wieku rozsądku i żąda pełnej odpowiedzialności za swe myśli i czyny».**

Czy sądzisz, czytelniku, że strach przed śmiercią nasunął mi te myśli? Bynajmniej. To rezultat następującego przemyślenia. Zdanie powyżej przytoczone pojawia się codziennie we wszystkich piśmiech, chlubiących się z tego, że dają swym czytelnikom najświeższe wiadomości. Jednak jest w tem zdaniu coś daleko bardziej niezwy-

*) *«The Return of Christendom»* wyd. George Allen J Unsom, Londyn 1922.

kłego, niż to, że jest nowem. Doszedłem do tego, może zbyt późno, że zdanie to zawiera w sobie prawdę.

Czytałem to zdanie może 990 razy, nie zdając sobie sprawy, żeby tak być mogło. Nagle, gdy czytałem je 991 raz, zrozumiałem, że słów tych nie napisano nadarem. Zdanie to zawiera w sobie więcej prawdy, niż jego autorowie przypuszczają, prawdy, której, z całą pewnością, nie uznają. Co więcej, gdyby podejrzewali, ile prawdy mieści się w tych słowach, nie byłiby ich napisali.

Strach mnie ogarnia na myśl o tysiącach tych dziennikarzy, którzy piszą, wszyscy jednocześnie coś, co istotnie jest prawdą!

Rzeczywiście, świat dzisiejszy jest pełnoletni. Kolebką jego była Epoka Odrodzenia, dzieciństwem — epoka protestantyzmu i handlu, wiekiem młodzieńczym — epoka maszyn i rewolucji przemysłowej.

Świat doprawdy zaszedł już tak daleko, że można ocenić jego zasługi. Dostatecznie dojrzał, żeby mógł odpowiadać za swe czyny, żeby mógł odpowiadać samodzielnie.

Może to będzie jednak nie bardzo wesołe rozważanie: Za co ma odpowiadać? Jakie były jego czyny?

Musimy sprawę rozpatrzyć gruntownie, gdyż często ci, co stawiają tezy, wyciągają wnioski wręcz z niemi sprzeczne.

Mówią na przykład, że człowiek dzisiejszy może robić wszystko, co zechce, ale o ile to jest zgodne z tem, czego oni chcą. Uciekają się jednak do przeciwnego twierdzenia, o ile idzie o to, czego oni nie chcą. Wszystko zło na świecie przypisują więzom dogmatycznym, które zerwano, lub sile przesądów, których się wyzbyło.

Jasne jest, że filozofowie ci nie mają racji jednocześnie w obu wypadkach.

Jeżeli prawdą jest, że człowiek postępowy stworzył nowy, cudny świat na swój własny obraz, nie może oczywiście tłumaczyć brzydoty swego dzieła przywiązaniem do bogów, których odbiegł. Krótko mówiąc, jeżeli człowiek jest odpowiedzialnym za swe czyny, jest odpowiedzialnym również za swe złe czyny; nie może składać winy na religję, którą porzucił. Jest to jasne nawet w abstrakcyjnej logice, a tem jaśniejsze, gdy przechodzimy do faktów konkretnych.

Możemy lubić współczesne maszyny lub ich nie lubić, ale nie możemy uważać za fakt dowiedziony historycznie, że twórcy maszyn dzisiejszych wzorowali się na machinie, używanej do tortur przez inkwizycję hiszpańską. Może się nam podobać lub nie podobać «ul robotniczy» z robotnikami tam gnieźdzącymi się, na warunkach, podyktowanych im przez kapitalistę, ale nie możemy mówić, że jest to faktem dowiedzionym historycznie, że twórcy owego ula wzorowali się w ekstazie religijnej, na klasztorze średniowiecznym.

Możemy pochwalać dzisiejszą wojnę kolonialną lub jej nie pochwalać, ale nie możemy powiedzieć, że narzucił nam ją papież, jak krucjate.

Możemy lubić sensacyjne powieści (żółta prasa), lub ich nie lubić, ale nie możemy dowodzić, że autorkami ich są «cmy nocne».

Człowiek dzisiejszy, jak mówią jego wielbiciiele, jest już dostatecznie dojrzałym, żeby dokonywać wielu rzeczy na własną odpowiedzialność, bez szukania rady u prababci ze średniowiecza. Nie pozostało już prawie ani jednego ogniwa, któreby go łączyło z więzieniem z przed reformacji. O, już dawno wyszedł z więzienia. Chodzi teraz o to, kto wyszedł z więzienia i czy pewne przewrotne indywidua nie wolą wypadkiem więzienia od więźnia.

Spróbujmy ocenić to uczucie, uwzględniając jeden tylko warunek: badanie nasze dotyczyć będzie całej ludzkości.

Niedorzecznością byłoby twierdzić, że wszyscy ludzie średniowiecza byli tak rozumni jak święci, zarówno, że wszyscy ludzie dzisiejsi są tak głupi i brudni, jak miljonerzy. Jeżelibyśmy porównali maszyny rewolucji przemysłowej z machinami inkwizycji, to wielu wolałoby choćby młocarnię od kleszczy. Większość jednak ludzi, nawet w ostatnich, najgorszych czasach inkwizycji, poszła do grobu, wiedząc o kleszczach nie więcej, niż większość obywateli amerykańskich wie dzisiaj o «trzecim przypadku», a jeszcze daleko mniej o ceremonjach, praktykowanych przy paleniu żywem murzynów. Z drugiej strony nikt nie może iść do grobu, ani do sklepu, ani do biura, nie wiedząc o dobrych i złych stronach maszyn.

Możemy więc z zupełną słuszością zapytać, co dzisiejsze maszyny zrobiły z ludzkością? Mogłybyśmy nawet tak sformułować pytanie: W jaki sposób maszyny sfabrykowały współczesnych ludzi?

Pytanie to, choć bardzo skomplikowane, jak wszystko, co historyczne, można jednak znacznie uprościć. Dzisiejsza zmiana podstaw bytu zastała tłum ludzi żyjących na wsi z ziemi, a wygnała go na bezdroża. Prawdą jest, że poprzednio nazywano ich niewolnikami, przywiązanymi do ziemi, a teraz nazwano ich ludźmi wolnymi, bez ziemi. Szanujemy te nazwy. Droga może być symbolem wolności, a zagon — niewolnictwa. Chodzi mi tu jednak o podsumowanie faktów, uysymbolizowanych w tych wyrazach.

Faktem jest, że rozum dzisiejszy nie zamierzał niewolnika zrobić panem roli, jeno panem własnych nóg, na których mógłby wędrować w aureoli wolności. Dano mu możność sprzedawania pracy temu lub owemu. Oceniam ten fakt i przyznaję, że istotnie ma pozór wolnej umowy, nawet wtedy, gdy w rzeczywistości jest umową wilka z owcą.

Faktem jednak niezaprzeczonem jest to, że pozycja ekonomiczna dzisiejszego pracownika, żyjącego wyłącznie z zarobków, jest mnie

pewna, nawet od pozycji chłopu pańszczyźnianego, a o wiele mniej zaszczytna od pozycji chłopu czynszowego.

Jeżeli mówię, że istnieje co najmniej wątpliwość, czy rewolucja racjonalistyczna ostatnich lat czterechset poprawiła los masy ludzkiej, wyrażam się umyślnie tak powściągliwie. Chcę bowiem podkreślić, że nie tylko ludzie moich zapatrywań, lecz wogóle wszyscy ludzie myślący doszli do tej wątpliwości.

Nikt nie jest pewnym czy kapitalizm zwyciężył; nikt nie jest pewnym czy uprzemysłowienie rozwiąże swe własne problemy; nikt nie jest pewnym, czy te zagadnienia nie lepiej były rozwiązane w czasach wiary.

Rewolucja poruszyła koło; koło wykonało cały obrót; świat poszedł własną drogą. Ale świat zwątpił w swój cel. Świat stracił drogę.

Tu wątpliwości sięgają daleko głębiej, niż w tak zwanych wątpliwościach religijnych. Można by to nazwać wątpieniem bezreligijnem, albo wątpieniem w czystą wiedzę, lub nawet w bezwyznaniowość.

Kościół, będący przedmiotem wiary, jest temsamem przedmiotem wątpliwości. Ludzie dzisiaj wątpią jednak nie tylko w to, co wierzą, ale i w to, co wiedzą. Kwestjonują nie tylko to, co mają robić, ale kwestjonują to, co już zrobili.

A co zrobili?

— Zburzyli zasady miłosierdzia i postawili na ich miejsce — konkurencję, a później konkurencję zmienili na monopol.

Co zrobili?

— Obrócili zarówno chłopów pańszczyźnianych jak czynszowych w najemników, a później w bezrobotnych. Zdeptali tysiączne dzieła pobożności i miłosierdzia, ażeby stworzyć wolny handel; a ten ich wolny handel był tak wolny, że stanął o krok od niewolnictwa.

Porzucili swe ołtarze i święte ogniska dla przypodobania się arystokracji, po to, żeby przekonać się, że ta ich arystokracja nie składa się już z arystokratów, nie składa się nawet z gentelmanów.

Spuścili świat najwstrętniejszym i najnikczemniejszym ateizmem po to, ażeby bezwyznaniowość utorowała drogę zabobonom i szarlatanom.

Wybudowali miasto sławne z wysokości renty gruntowej i szczupłości placów, przeznaczonych pod budowę domów mieszkalnych; miasto, którego bogactw i nędzy zarówno się wstydzą; miasto, z którego uciekają na wieś i którego powstrzymać nie są w możności, by ich nie ścigało w zaciszach wiejskich.

Wszystkie te zjawiska nasuwają człowiekowi dzisiejszemu wiele wątpliwości. Wytwarzamy sobie o nich sąd podwójny. Są one urze-

czywistnieniem naszych doktryn o wiedzy i wolnomysłowości. A jednak, dziwnem byłoby zaiste, gdyby ułamek zapomnianego na polu zdania nie przychodził nam niekiedy na myśl: »Jeżeli nie buduje Bóg...«.

Człowieku dzisiejszy, któryś doszedł do tego stopnia istotnego zwątpienia, Tobie tę książkę dedykuję. Więcej znajdziesz w niej prawdy niż w łamigłówkach, co Pismo święte obalają.

Niedorzecznem byłoby kończyć, utwierdzając w przekonaniu, że zwątpienie jest ostateczne i beznadziejne. Tak złe nie jest.

Wiele wartościowego w świecie dzisiejszym się znajduje. Nie należy również obawiać się dążenia do sztucznej rekonstrukcji średniowiecza. Ci, co rozumieją tradycje katolicyzmu, nie myślą o takim kościele, któryby klócił się ze światem dzisiejszym, lub o takim któryby wypowiadał się jedynie w pojęciach średniowiecznych.

Nie o to idzie, czy tamten świat miał rację, a dzisiejszy świat jej nie ma. Idzie o to, że kościół miał słuszość, a świat zawsze błędził.

Jeżeliby dzisiejszy człowiek, nie sięgając głębiej, chciał postawić na szalkach z jednej strony wyrobnika, a z drugiej chłopą pańszczyźnianego lub z jednej strony szachrującego finansistę, a z drugiej barona-rabusia, to jednak potrzebowałby jeszcze kogoś, jakiegoś autorytetu, któryby stanął ponad wiekami i wagę ujął w dłonie.

Gdy apostoł chrześcijaństwa powiedział, że codzień umiera, chciał dać do zrozumienia, że to kościół umiera; z tą jednak różnicą, że jeżeli święty umierał co dnia — kościół umierał co stulecia.

Mówiono, że kościół umiera, gdy Juljan z imperatorskiego tronu, ogłosił cześć Apolina.

Mówiono później, po pierwszych triumfach herezji wschodnich, że kościół umiera. Po części miano rację. Kościół umierał, ale cześć dla Apolina już umarła. Wielu powtarzało to samo, gdy kalwinizm zagarniał prowincję po prowincji. I słusznie — kościół umierał, ale herezje wschodnie już umarły. Gdy rewolucja francuska stworzyła nowe niebo na nowej ziemi, zupełnie widocznem było, że chrystjanizm szedł do swego kresu. Kościół umierał istotnie, ale kalwinizm już umarł.

Wiara chrześcijańska umierała co dnia, wrogowie jej poprostu umierali. To, na co dzisiaj patrzymy, nie jest dążeniem do wywyższenia jednego okresu czasu nad drugi. Jest to raczej jedyne w swym rodzaju oświecenie tego faktu, że na świecie bez religii jest gorzej niż z religją. Kościół umiera, jak zwykle, ale świat dzisiejszy umarł i wstać może w jeden tylko sposób — Łazarzowy.

Thum. Z.M.

ŚMIEJ SIĘ, ŚMIEJ SIĘ WIEKU MŁODY.

Lato 1933 — 40

Zima 1933/34 — 50

Lato 1934 — 60

Zima 1934/35 — 101

Tak wzrastała liczba młodzieży akademickiej, biorącej udział w wycieczkowych Obozach, organizowanych w Zakopanem przez dobrze znaną wszystkim, interesującym się życiem młodzieży, Siostrę Zmartwychwstankę.

Dwa razy na rok zbiera się na Dworcu głównym, koło »Ruchu«, coraz liczniejsza gromada studentek, rozpoznających się po przypiętych na płaszczech gałązeczkach świerku z biało-zieloną wstążeczką (taki już mają dziwny zwyczaj), aby razem z oczekującą już Siostrą, którą poznaje się po czarnych okularach, ruszyć na kilkunasto czy kilkudziesięciodniowe szaleństwo w góry.

Towarzystwo to bywa nadzwyczaj różnorodne: różne miasta, różne uczelnie, różny wiek, różne wymagania i miejscowości, ostatnio nawet różna płeć, bo przygarnęła Siostra kilkunastu przedstawicieli »panów świata«. Wkrótce ta, wydawałoby się niczem niepołączona, a wszystkim różniąca się gromada, stanowi zwartą, wielką rodzinę. Ostatnia rodzina wydawała się trochę zatrwajająca, stosunek bowiem ladies and gentleman's był jak 84:17, w praktyce jednak wszystko było jak dawniej: tyle samo radości, tyle śmiechu, śpiewu i humoru, tyle emocyj, tyle samo zmartwień i niepokojów, tylko jedzenia więcej niż poprzednio, bo wszystko przewidująca Siostra całą jesień i zimę poświęciła na zbiórkę pieniędzy i prowiantów, tu i ówdzie otrzymując sełkę, czy dwie, woreczek cukru, świnkę tuczną, wagonik węgla itp. Bogactwami temi gospodarowali sami, żyjąc jak angielscy lordowie, obsługiwani naprzemian przez służbę żeńską i męską, eleganckim gestem podającą pełne półmiski półgęsków, wędlin i pasztetów (nie należy tego brać zbyt dosłownie), oraz nikłowe dzbany, napełnione oskomeń budzącem, wedlowskim kakao. Używaliśmy darów bożych dowoli, przybierając na wadze i pogodzie ducha, przysparzając Siostrze okazji do zmartwień, umartwień i rozpaczliwego załamania rąk. Bywało bowiem, że w dzień sylwestrowy wybrała się piątka zagorzałych turystów na Czerwone Wierchy i dzięki nagle spadłej zamiast do Kuźnic posłała do Czech, nocując, zagrzebana w stos wyciętych jedynym scyzorykiem gałązek świerkowych, bo doświadczeni ci taternicy nawet zapalek nie wzięli ze sobą. Łatwo wyobrazić sobie rozpacz Siostry, bez przerwy alarmującej wszystkie schroniska, wysyłającej ekspedycje ratunkowe, całą noc leżącą krzyżem na intencję tych szaleńców, którym zresztą, jako, że warjatom szczęście sprzyja, nie stało się nic, wrócili cali, zdrowi i zamiast porządnej kocówki, na którą zasłużyli, przyjęci byli łzami radości. Było i tak, że jedna z uczestniczek, nie wpłaciwszy nic, »pożyczyła« od Siostry 20 zł. na drobne wydatki, potem zaś zapowiedziała, że jeżeli Siostra nie kupi jej powrotnego biletu zostaje na rachunek Siostry w Zakopanem, u »Srebrnych Staruszek« jak nazwał Kornel Makuszyński Panie, kierujące Zakładem w Kuźnicach. Wszyscy usta

otworzyli z podziwu, tylko Siostra zносиła to wszystko z wrodzonym humorem i cudowną wprost wyrozumiałością.

Mimo, że każdy Obóz okupuje Siostra kilkotygodniową obłożną chorobą, nie przestaje myśleć o organizowaniu następnego. Wiemy, że ma już gotowy plan na nadchodzące wakacje, że chce wywieść część niezamożnych akademikzek na pruską granicę, aby przeciwstawiały się kilku tysiącom młodzieży niemieckiej, która dla celów propagandowych ma spędzić tam wakacje, chce byśmy czystym, jasnym i prostym życiem, pogodą i serdecznością zdobyły mieszkańców pogranicza. Będzie to najlepsza propaganda polskości. Drugą połowę uczestniczek Obozu chce posłać na wschód, aby młodemu, gorącym polskiem sercem podzieliły się z tamtejszą ludnością. Wten sposób chce Siostra połączyć przyjemność i pożytek, chce pozwolić odpocząć i wyżyć się nam, niebogatym studentom, chce jednocześnie, żebyśmy zostawiły ślad naszej wiary, pogody i radości w pamięci mieszkańców naszych kresów. Medale za zasługi dla Państwa ma już nasza Siostra, my nie możemy. Jej dać żadnego odznaczenia, ani nagrody, prócz żywej i gorącej wdzięczności za wszystko, co zrobiła dla młodzieży, najpierw jako Kierowniczka Internatu dla Akademiczek, potem jako Organizatorka Obozów wypoczynkowych.

W. K.

RECENZJE:

Małżeństwo czy wolna miłość? Marjan Pilarski 1935 Str. 57.

Druk Rycerza Niepokalanej Niepokalanów

Broszura dla szerokich kół czytelników, pragnących światom i silnie stanąć na gruncie katolickim w obronie świętości małżeństwa i rodziny. Przejrzysta i przystępna forma czyni z niej lekturę łatwą i zajmującą.

Zawiadomienia.

Wyszły zamaż:

P. Janina Okoniówna za p. Alfreda Tykę z Jarosławia d. 16 września u. r.

P. Bolesława Korabiowska za p. Stanisława Janiszewskiego z Warszawy d. 24 października u. r.

P. Wiktorja Piotrowska za p. Edwarda Pilarskiego z Gołtarzowic-Chwałkówno d. 24 XI. u. r.

„Szczęść im Boże“

Szkoły Gospodarcze Żeńskie
pod kierunkiem
Stowarzyszenia Matki Boskiej
Dobrej Rady

SZKOŁA DOMOWEJ PRACY KOBIET
ZAKOPANE — KUŹNICE

Kurs roczny. Nauka obejmuje: gotowanie, krój i szycie porządki, pranie, prasowanie oraz przedmioty teoretyczne.

Wymagane wykształcenie: od VI klasy szkoły średniej.

Internat obowiązuje. Prospekty na żądanie.

SZKOŁA DOMOWEJ PRACY KOBIET
KÓRNIK p. POZNANIEM

Kurs roczny. Nauka obejmuje: kucharstwo, mleczarstwo, gospodarstwo podwórzowe, pranie i prasowanie, porządki domowe, krój i szycie oraz przedmioty zawodowe i do kształcące. Wykształcenie wymagane: szkoła powszechna.

Internat obowiązuje. Prospekty na żądanie.

SZKOŁA GOSPODARSTWA DOMOWEGO
im. Jenerałowej Zamoyskiej
WARSZAWA, Elektoralna 47, tel. 537-99.

Kurs roczny. Nauka obejmuje: gotowanie, krój i szycie, porządki, pranie i prasowanie oraz przedmioty teoretyczne. Wymagane wykształcenie: od VI klasy szkoły średniej.
~~Dla zamiejscowych może być internat.~~

Prospekt na żądanie.

SZKOŁA ZARZĄDCZYŃ
im. Jenerałowej Zamoyskiej
WARSZAWA, Elektoralna 47, tel. 537-99

Pierwsza w Polsce Szkoła Zarządczyń na wzór szwajcarski. Kształci kierowniczkę gospodarcze dla pensjonatów, burs, szpitali, hoteli i innych instytucyj o charakterze gospodarczo-społecznym. Szczegóły w prospektach.

Kurs roczny. Wykształcenie wymagane: od VI klasy szkoły średniej i ukończenie szkoły gospodarczej.

~~Dla zamiejscowych może być internat.~~

Prospekt na żądanie.

a 2280 / 1-2
1935